

SYNODALNOŚĆ I ŚWIĘTOŚĆ

W kwietniu tego roku miałem zaszczyt przemawiać na Kapitule Generalnej Kongregacji Benedyktynów w Solesmes. Zgromadzenie poprosiło mnie o refleksję na temat: „Synodalność i Świętość”. Początkowo byłem zakłopotany. Nie myślałem o synodalności w kategoriach świętości. Owszem, ostatnio tak często słyszymy to słowo, iż doszliśmy do wniosku, że ma ono wpływ na wszystko; choć pod względem istotnej więzi jest zwykle kojarzone nie z eschatologicznym ideałem, co raczej z procesem zarządzania związanym z kościelnym gremium Soboru Watykańskiego II.

Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że wizja obecnie trwającego synodu jest jak przepełnienie kielicha Soboru. Kardynał Grech, sekretarz generalny Synodu, był w tej kwestii bardziej ostrożny, przyznając, że słowo „synodalność”, co prawda, nie występuje w dokumentach Soboru, ale przedstawiane jest w kategoriach marzenia. Jeśli mamy trudności ze zrozumieniem czym w swojej istocie jest *marzenie o synodalności*, może to wynikać z faktu, iż „synodalność” jest zmienna; jak zauważył inny autorytet, skłonna jest, na podobieństwo morza, do bycia „dynamiczną, a nie statyczną”.

Nie wszyscy rodzą się żeglarzami. Niektórzy z niepokojem stawiają czoła falom, szukając stałego punktu, konstelacji na niebie, którą można by się kierować. Dla tego typu osób kategoria świętości jest pomocna. Nauczyło mnie tego powierzone mi zadanie, które otrzymałem wiosną tego roku. Skłoniło mnie to do dostosowania perspektywy i dostrzeżenia poszukiwanego mostu łączącego pracę odbywającego się obecnie synodu z wizją i nauczaniem Soboru. Jeśli chodzi o kwestię świętości, Sobór ją wyraźnie objaśnia. Piąty rozdział wielkiej Konstytucji dogmatycznej o Kościele, „Lumen Gentium”, określił świętość jako ton, do którego należy zawsze dostrajać wszystkie instrumenty Kościoła. Przypomina się nam, że Chrystus „umiłował Kościół jako swoją Oblubienicę, wydając zań samego siebie, aby go uświęcić” (nr 39). Tylko wtedy, gdy wyrazimy zgodę na uświęcenie się w Chrystusie, odpowiemy naszej chrześcijańskiej misji i będziemy krzewić „bardziej ludzki sposób życia” na tym świecie (nr 40), którego upadek w odczłowieczenie napawa przerażeniem. Sobór podkreśla, że każdy stan życia ma swoją właściwą dla niego świętość. Dążenie do niej będzie wymagało poświęcenia. W tym kontekście należy przywołać świadectwo męczenników. Podsumowanie dokumentu jest niewiarygodnie odważne: „Wszyscy wierni Chrystusa są zaproszeni do dążenia do świętości i doskonałości własnego stanu. Faktycznie mają obowiązek do takiego

dążenia". Z tego obowiązku wynika praktyczna konsekwencja: „Niech więc wszyscy dbają o to, aby właściwie kierować swoimi najgłębszymi uczuciami duszy”. (nr 42).

Na szali znajdują się zatem głębokie uczucia duszy. Wydaje się, że nadszedł czas, aby rozważyć to wezwanie. Możemy to zrobić, odszukując wątek synodalności najpierw w Starym Testamencie, a następnie w Nowym, aby zadać sobie pytanie: jak najlepiej możemy to zastosować w naszym życiu? Jak może nas to wspólnie doprowadzić do celu, którego szukamy: świętości?

Synodalność w Starym Testamencie

Zacznijmy od wyjaśnienia terminologii. Etymologia słowa „*synodos*” była wielokrotnie objaśniana: „*hodos*” to greckie słowo oznaczające „drogę”; „*syn*” oznacza „z”. „*Synodos*” to droga realizowana we wspólnocie, wspólna podróż. Podróż zakłada cel. Tradycja ascetyczna zawsze pozostawała bezlitosna względem pielgrzymów nieustannie kręcących się w kółko bez jasno sprecyzowanego celu swojej wędrówki. Święty Benedykt uważał taką postawę – *gyrovagi* tj. niespokojnego wędrowca nigdy niezadowolającego się tym, co znajdzie w jednym miejscu, wiecznie złąknionego nowości – za prowadzącą do nieuchronnej zguby. Dla ludzi myślących biblijnie pojęcie „droga” budzi silne skojarzenia. Od św. Łukasza, wiemy, że Kościół w czasach apostołskich był nazywany „Drogą” (Dz 9,2). Chrystus określił siebie, mówiąc: „Ja jestem Drogą” (J 14,6). To jest Droga, którą należy podążać. Jej cel jest jasny. W modlitwie arcykapłańskiej Chrystus modlił się: „Ojcze, chcę, aby także ci, których Mi dałeś, byli ze Mną tam, gdzie Ja jestem, aby widzieli chwałę moją” (J 17,24). Być z umiłowanym Synem Ojca, Obrazem Boga (Kol 1,15), w którym zostaliśmy stworzeni (por. Rdz 1,27), teraz i na wieki, było powołaniem rodzaju ludzkiego od samego początku.

Pewien stopień synodalności jest ukryty w Bożym akcie stworzenia: „Uczyńmy człowieka na nasz obraz, na nasze podobieństwo” (Rdz 1,26). Celem naszego istnienia jest uświadomienie sobie naszego ikonicznego potencjału – możliwości stania się podobnym do Boga. Nie dokona się to jednak w izolacji. Po stworzeniu Ewy, mężczyzna i kobieta, pozostając w świętym związku, mieli być „jednym ciałem” (Rdz 2,24), zorientowanym na siebie nawzajem w sposób komplementarny. Ta dynamika ma szersze zastosowanie. To spotkanie spojrzenia drugiego człowieka odsłania mnie przed samym sobą, pozwala mi zrozumieć siebie i rozwijać się we wspólnocie.

Po opisie pierwotnej wspólnoty następuje historia upadku. Ukazuje ona ciemniejszą stronę synodalności:

„Wtedy niewiasta spostrzegła, że drzewo to ma owoce dobre do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy. Zerwała zatem z niego owoc, skosztowała i dała swemu mężowi, który był z nią: a on zjadł. A wtedy otworzyły się im obojgu oczy i poznali, że są nady” (Rdz 3,6-7).

Zdrada doprowadziła do śmierci niewinności. To, co do niedawna było znajome i uspokajające, stało się obce, jednocześnie pociągające i budzące strach.

Pismo Święte określa działanie powodujące upadek jako „grzech”, śmiertelną utratę właściwego ukierunkowania. Jednym ze skutków grzechu jest mniej lub bardziej świadoma chęć wciągnięcia innych do swojej nędzy, która wydaje mi się teraz, z powodu odrętwienia świadomości, moją jedyną rzeczywistością i środowiskiem życia. Myśl o pozostaniu w niej samotnym jest nie do zniesienia. Wezwanie do synodalnego odejścia od dobrowolnej zależności od Boga zostało wyraźnie wyrażone w projekcie Babel. Ludzie mówili do siebie: „Chodźcie, zbudujemy sobie miasto i wieżę, której wierzchołek będzie sięgał nieba, i w ten sposób uczynimy sobie znak, abyśmy się nie rozproszyli po całej ziemi” (Rdz 11,3-4). Ich pragnieniem było utrzymanie spójnej wspólnoty, stworzenie modelu społecznego na tyle atrakcyjnego, aby zjednoczyć całą ludzkość. Ich kryteria były autodestrukcyjne, chociaż sami tego nie widzieli. Projekt został zniszczony przez samego Pana.

Powołanie Abrahama, naszego ojca w wierze, było synodalne. Usłyszawszy wezwanie Boże, „zabrał z sobą swoją żonę Saraj, swego bratanka Lota [...] służbę, którą nabyli w Charanie, i wyruszyli, aby się udać do Kanaanu” (Rdz 12,5). Na początku wszystko szło pomyślnie.

Dopóki cel podróży jest odległy, podatny na idealizację, synodalność nie stwarza poważnych wyzwań; podróżujący wyobrażają sobie naturę tej wspólnej podróży, zgodnie z własnymi oczekiwaniami. Kiedy jednak zbliża się koniec podróży, pojawiają się pytania o podział terytorium, pojawiają się napięcia. Majątek Abrahama i Lota był tak wielki, że ziemia, którą dotychczas zamieszkiwali razem, nie mogła już pomieścić ich obu. (Rdz 13,5). Rozeszli się więc w dwie różne strony. „Odłącz się ode mnie” - powiedział Abraham - „Jeżeli pójdziesz w lewo, ja pójdę w prawo” (Rdz 13,9). Ta historia pomaga nam porzucić uproszczone pojęcie synodalności. Jeśli nie mamy na myśli tego samego celu, nie nosimy w sobie tego samego obrazu raj, który pragniemy odzyskać, wówczas możemy odczuć działanie niszczącej siły odśrodkowej. Jedność, zawsze bezbronna, będzie wówczas podatna na rozbitcie.

Ta tendencja przejawia się w opowieści o wyjściu Izraela z Egiptu, która kształtuje nasze coroczne przygotowania do Wielkanocy. Mojżesz, Aaron, Miriam i kilka wtajemniczonych osób, przygotowanych przez Opatrzność, mieli jasno sprecyzowane powody, dla których musieli opuścić Egipt i odnaleźć ziemię

obietaną. Ogół zgromadzenia synodalnego, Izraela, był bardziej pragmatyczny. Ludzie ci pragnęli przede wszystkim lepszej jakości życia, rozrywki, uznania. Takie aspiracje są uzasadnione, ale niewystarczające do zachowania jedności w ruchu naprzód dla zróżnicowanego tłumu, „vulgus promiscuum innumerabile”, by zacytować pamiętne tłumaczenie Księgi Wyjścia 12,38 przez Hieronima, będącego początkiem opisu licznych konfliktów, rozłamów i ucieczek.

Każdy, kto ma czas i chęć, może kontynuować tę lekturę wątku synodalnego w księgach historycznych i prorockich. Pozostaje nam starotestamentalna perspektywa synodalności, której nie można nazwać cyniczną, gdyż każda strona Pisma Świętego jest przepełniona nadzieją; jest po prostu realistyczna, jest pożyteczna. Aby wspólnie podążać ku świętości, ku spotkaniu ze Świętym, musimy podążać królewską drogą, która czasami bywa wąska.

Synodalność w Nowym Testamencie

W tekstach synodalnych najczęściej przywoływanym fragmentem Ewangelii jest scena przedstawiająca uczniów zmierzających drogą do Emaus. Jest to tekst wzniosły, pozwalający odkrywać wciąż nowe warstwy ukrytych w nim znaczeń. Równie dobrze moglibyśmy odczytać w kluczu synodalnym wezwanie skierowane do Marii lub Apostołów, do Marii Magdaleny lub Pawła. W ten sposób możemy się wiele nauczyć na temat tego, co oznacza chodzić w towarzystwie Syna Bożego. Przecież to właśnie Jego obecność stanowi kryterium autentyczności synodalnej.

Skłaniam się ku bardziej dyskretniej narracji synodalnej Nowego Testamentu. Dotyczy ona świadectwa człowieka, który doszedł do wiary niemal wbrew sobie, który szedł za Jezusem w pewnej odległości, jednocześnie nie tracąc Go z oczu; człowieka który pozostał wierny do końca, pozostając jednak w cieniu. Mówię tu o Nikodemie. Nikodem, „przywódca Żydowski”, pojawia się w trzecim rozdziale Ewangelii św. Jana. „Przyszedł do Jezusa nocą” (J 3,2), to typowe podejście dla naszych czasów, w których wiara często ma „nocny” charakter. Nikodem stawia przemyślane pytania; jest refleksyjny, poważny, szuka prawdziwych odpowiedzi na rzeczywiste problemy. Również pod tym względem reprezentuje obecne nastroje.

Nikodem chce być wysłuchany, ale potrafi też uważnie słuchać. Dotykamy tu drażliwego tematu. Ogólnie rzecz biorąc, w dzisiejszych czasach nie jesteśmy skorzy do słuchania. Jesteśmy zbiorowo dotknięci nadmierną gadatliwością, skłonni do nieuwagi i wybiórczej głuchoty. Dotyczy to także Kościoła i dyskursu synodalnego. Każdy ma coś do powiedzenia. Każdy oczekuje, że będzie wysłuchany. Czy jesteśmy jednak gotowi słuchać tego, co mówi Pan, a następnie podążać drogą wiary, trwając w mocnych postanowieniach, ufnie i w wolności?

Rozmowa Jezusa z Nikodemem dotyczy tematu samoobjawienia się Boga, ukazując nam, że można żyć życiem nasyconym Duchem Bożym. Mówi o miłości Boga, która skłania Go do оголоzenia się, abyśmy mogli żyć, co jednocześnie jest wzorem, który jesteśmy zobowiązani naśladować; uznaje życie wieczne za jedyny godny cel pielgrzymki człowieka na ziemi; podkreśla posiadaną przez nas wolność, która pozwala na wybór między życiem a śmiercią, światłem a ciemnością. Mowa tu o wolności, za którą pewnego dnia będziemy musieli odpowiedzieć przed Bogiem. Owego dnia będziemy musieli osobiście zdać sprawę z dokonanych przez nas wyborów, nawet jeśli mogły one zostać zachwiane pod wpływem energii synodalnej.

Usłyszawszy i przyjąwszy naukę Jezusa, Nikodem odchodzi w noc. Uosabia on wspaniały tekst z Księgi Izajasza: „Dusza moja tęskni za Tobą w nocy; całym duchem, w głębi duszy, szukam Cię; bo gdy Twoje sądy będą świetliste na ziemi, mieszkańcy świata nauczą się sprawiedliwości” (26,9, wg Neo-Wulgaty). Nikodem to ten, który naprawdę oczekuje, aby sąd Boży zabłysnął na ziemi.

Spotykamy go ponownie na zgromadzeniu dostojników, podczas którego arcykapłani i faryzeusze starają się pozbyć Jezusa. Nikodem protestuje: „Czy Prawo nasze potępia człowieka, zanim go wpierw nie przesłucha, i zbada, co czyni?” (J 7,51). Aby chodzić z Jezusem i tworzyć wokół Niego wspólnotę synodalną, musimy ważyć Jego słowa i czyny, szukać ich znaczenia i zakorzeniać się w Jego zbawczym objawieniu, nie ulegając uprzedzeniom, oczekiwaniom i przemijającym poglądom.

Trzecie pojawienie się Nikodema w Ewangelii ma miejsce przy grobie Jezusa. Oczywiście, obserwował on ukrzyżowanie z pewnej odległości. Jednakże, teraz gdy uczniowie oplakują swojego Przyjaciela, decyduje się podejść bliżej, przynosząc „mieszankę mirry i aloesu, ważącą około stu funtów” (J 19,39). Chrześcijanie średniowiecza długo rozważali tę scenę, widząc w Nikodemie kogoś, kto przeniknął tajemnicę Męki Pańskiej, przyjął ją i dzięki temu mógł przekazać innym. W ten sposób powstała tradycja przypisująca Nikodemowi rozmaite dzieła sztuki np. poruszające przedstawienia Ukrzyżowanego. Uważano go za twórcę zarówno Świętego Oblicza w Lukce w Toskanii, jak i Krucyfiksu Batlló. Znamienne jest, że nasi średniowieczni przodkowie uważali go za rzeźbiarza, mistrza sztuki empirycznej, który tworzył to, co widział oczami, czego dotykał rękami (por. 1 Jana 1,1). Bez konieczności dyskusowania o prawdziwości takiego opisu Nikodema, możemy rozpoznać w nim odwieczną symboliczną ważność i wartość.

Nikodem jest, jak sędzę, przykładem dla nas, którzy synodalnie staramy się być prawdziwymi uczniami i poszukiwaczami świętości. Dlaczego? Ponieważ unika łatwych polemik i teatralnych gestów. Podąża za Panem, gdziekolwiek się udaje. Kiedy jest potrzebny, ofiarowuje swoją służbę i przyjaźń wspólnocie. Pokazuje nam,

co to znaczy być wiernym w ciemności Wielkiego Piątku. Kontemplując ukrzyżowanego i złożonego do grobu Chrystusa, kierując się mądrością, jest w stanie rozpoznać w opuszczeniu coś wzniosłego: chwalebne, boskie objawienie. W ten sposób stał się prawdziwym świadkiem zwycięstwa Ukrzyżowanego. Takiej postawy potrzebuje dzisiaj Kościół.

A My?

Bycie chrześcijaninem, katolikiem, jest dziś wyzwaniem. Rozglądając się dookoła, możemy ulec pokusie, by zawołać za Psalmistą: „Boże, poganie przyszli do Twego dziedzictwa, zbezczeszili Twój święty przybytek, Jeruzalem obrócili w ruiny” (Ps 79,1). Być poganinem oznacza być człowiekiem, który tak naprawdę nie wierzy, bez względu na to, jak wielkie znamiona wiary zdaje się sobą reprezentować. Żyjemy z ranami nadużyć. Wszyscy po cichu liczyliśmy, że skandale, o których dowiadaliśmy się z mediów, dotyczyć będą jedynie naszych sąsiadów, innych krajów, wspólnot, lecz nie nas samych. Tymczasem nasze wspólnoty się kurczą. Dręczące pytanie: „Jak długo?” pojawia się w okolicznościach, które jeszcze do niedawna wydawały się stabilne. Zaufanie zostało zdradzone. Prorocy spustoszenia są wszędzie. Duch podziału, szerzący się w społeczeństwie, odsłania swoje odrażające oblicze także w Kościele. Panuje pewien specyficzny smutek.

A jednak to jest dzień i noc, które Pan uczynił i powierzył nam, aby stały się dla nas czasem zbawienia. W jaki sposób w tych czasach możemy żyć naszym powołaniem do świętości?

Po pierwsze, poprzez niesienie razem z Barankiem Bożym naszej części ciężaru grzechu tego świata, grzechu, którego nie można sprowadzić jedynie do bezbożnych czynów. Grzech ten oznacza w nie mniejszym stopniu doczesne zagubienie, chaotycznie wyrażające ból zmierzający do rozpacz; zagubienie to bywa często pozbawione przedmiotu i dlatego jest szczególnie groźne. Baranek Boży „gładzi grzechy świata” nie przez pstryknięcie palcami jak magik, lecz poprzez dźwiganie ich na sobie. Jesteśmy wezwani do życia jako członki Jego Ciała.

Wierni, którzy jak Nikodem, wezwani są, aby za wszelką cenę przedkładać światło nad ciemność (por. Jan 3,18-21), muszą być gotowi, aby synodalnie dźwigać ciężar nocy, który jest obecnie udziałem wielu ludzi. To zakłada gotowość pozostania wewnątrz tej nocy, modlenia się, kochania i służenia, stopniowego rozpoznawania, choć z daleka, światła, którego nie pokona żadna ciemność (Jan 1,5).

Kiedy czytam źródła monastyczne, wielkie Żywoty (Antoniego, Hypatiosa i innych), które przed napisaniem Reguł wskazywały drogę do życia, uderza mnie powracający *topos* współczucia, rozumianego konkretnie jako chęć „cierpienia z”. To

z pewnością kluczowy aspekt doświadczenia synodalnego: uczestnictwo, poprzez cierpliwość, w odkupieńczej Męce Chrystusa. To czas do zastanowienia się nad tym, o czym Paweł ściszym głosem mówi do Kolosan: „teraz [...] ze swej strony dopełniam niedostatki udręk Chrystusa w moim ciele dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1,24). Ma to głębokie znaczenie, że Sobór Watykański II, wyjaśniając powszechne wezwanie do świętości, wyraźnie odniósł się do męczeństwa:

„Ponieważ Jezus, Syn Boży, okazał swoją miłość, oddając za nas życie, nikt nie ma większej miłości od tego, kto swoje życie oddaje za Niego i za swych braci. Do dania więc tego najwyższego świadectwa miłości wobec wszystkich, zwłaszcza wobec prześladowców, niektórzy chrześcijanie zostali powołani już od samego początku i zawsze będą powoływani. Męczeństwo, przez które uczeń upodabnia się do Mistrza przyjmującego z własnej woli śmierć dla zbawienia świata i naśladuje Go w przelaniu krwi, Kościół uważa za szczególny dar i najwyższą próbę miłości. A chociaż dane jest to nielicznym, wszyscy jednak powinni być gotowi wyznawać Chrystusa wobec ludzi i iść za Nim drogą krzyża wśród prześladowań, których nigdy nie brakuje Kościołowi”. (*Lumen Gentium*, nr 42).

Wszyscy muszą być gotowi. Bez melodramatu, z chrześcijańską powagą nasączoną zdrowym rozsądkiem. Musimy przyznać, że to wezwanie nas dotyka. Również musimy wierzyć, że tematyczna nieprzewidywalność towarzysząca każdemu *vulgus promiscuum*, podążającemu drogą przykazań (por. zakończenie Prologu Reguły św. Benedykta), w tajemnicy realizuje boską melodię. Odczuwam ogromną pociechę płynącą z wyznania mniszki benedyktyńskiej z ubiegłego wieku, Siostry Elisabeth Paule Labat, która z bliska doświadczała zawirowań i traum życia, pozostając jednocześnie zakorzenioną w wyzwalającej, przemieniającej łasce Krzyża. Swoje dojrzałe przemyślenia wyraziła w ten sposób:

„[Wzrastając w mądrości], człowiek będzie postrzegał historię tego świata, w którego walkę wciąż jest zaangażowany, jako wielką symfonię rozwiązującą jeden dysonans przez drugi, aż do intonacji doskonałego durowego akordu ostatniej kadencji na końcu czasów. Każda istota, każda rzecz, przyczynia się do jedności tej zręcznej kompozycji, którą można usłyszeć tylko od wewnątrz: grzech, śmierć, smutek, żal, niewinność, modlitwa, najbardziej dyskretne i wzniosłe radości wiary, nadziei i miłości; nieskończona ilość

tematów, ludzkich i boskich, spotyka się, ucieka i splata, aby ostatecznie stopić się w jedno, zgodnie z planem mistrza, który jest niczym innym jak wolą Ojca, dążącego poprzez wszystko do nieomyślnej realizacji swoich planów”.

Świętość jest istotną kategorią, a nie etykietą przypinaną na znak nienagannego postępowania. Świętość jest tym, co jest zasadniczo boskie, całkowicie niepodobne do jakiegokolwiek cechy, nawet tej najpiękniejszej, istniejącej w stworzeniu. Droga do świętości jest oświetlona niestworzonym światłem. Musimy się przemienić, aby je dostrzec. Nasze oczy, serca i zmysły muszą być otwarte; musimy wyjść poza nasze ograniczenia i wejść do wymiaru prawdy, która pochodzi od Boga.

Synodalność, prowadząca w tym kierunku, upodabniająca nas do naszego ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Pana, jest życiodajna, pachnąca słodką wonią Jezusa Chrystusa (2 Kor 2,15). Natomiast synodalność zamykająca nas w ograniczonych pragnieniach i przewidywaniach, redukująca zamierzenie Boże do naszej miary, musi być traktowana z wielką ostrożnością.

+fr. Erik
Varden OCSO